

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI ; MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR. 9

WARSZAWA, 28 PAŹDZIERNIKA 1935 R.



Z AFRYKI



WPUSTYNI

Martwe niebo przykrywa świat błękitnym kloszem.
Brak tchu... Niema powietrza, niema czem oddychać...
Wkoło złowroga przestrzeń przeraźliwie cicha...
Spękanemi wargami daremnie dżdżu proszę —
Słońce — okrutny władca, jak zły smok złocisty,
wysysa resztki siły w uścisku ognistym...

Jak garby kołyszących się grzbietów wielbłądzych,
faluje rozżarzona piasku przestrzeń złota...
Nieogarniona pustka, leniwa martwota...
Stępały wzrok wędrowca beznadziejnie błądzi
w dalekościach, gdzie złoto z błękitem się zlewa...
— Nigdzie śladu oazy, ni jednego drzewa...

Nagle — co to? Patrzajcie! Przecudne zjawisko!
Gaj palmowy ze źródłem wyrasta przed nami!
Kusi świeżą zielenią, gra tęczy barwami!
„Wody! Pić!!”... O, męczarnio!... Co zda się już blisko,
do czego w uniesieniu spieszy karawana — — —
— — zniknęło... To o szczęściu sen — fatamorgana...

Alina Kwiecińska

DZIWNY TO ŁĄD: AFRYKA

Oczy całego świata są dziś skierowane na Afrykę. Wszystkich interesuje najwięcej Abisynja, to dziwne, czarne cesarstwo, utrzymujące swą niepodległość od zamierzchłych czasów starożytności. Istotnie ciekawy to kraj: dziki,

pierwotny, a mimo to chrześcijański od bardzo dawnych czasów. Lud, który go zamieszkuje, jest bardzo waleczny. Przed kilku tysiącami lat Faraonowie egipscy organizowali nieraz wyprawy zbrojne na Abisynję, czyli Etopję (zwa-





WODOSPAD WIKTORJI

ła się ona wtedy krainą Kusz), ale nigdy nie mogli jej zdobyć. W nowszych czasach, gdy wybuchło słynne powstanie derwiszów w Sudanie, opisane tak malowniczo przez Sienkiewicza w jego „W pustyni i w puszczy”, jedynie Abisyńczycy, pod wodzą negusa Jana, dali im porządnie w skórę. Niedługo potem pobili oni na głowę wojsko włoskie pod Aduą, zaś w rok później zniszczyli egipski korpus ekspedycyjny, prowadzony

przez brata królewskiego, Abu Hassana.

Dziwny i ciekawy to kraj. Ale najmniej dziwną i ciekawą jest cała Afryka. Jest to część świata obfitująca w największe kontrasty. Najbardziej rzuca się tam w oczy kontrast między strefą pustynną a strefą puszczy podzwrotnikowych. Właściwie kontynent afrykański jest jakby przepołowiony. Jego część północna, to jedna olbrzymia pustynia, obejmująca obszary większe, niż cała



WIELBŁĄDNICY

Europa, zaś jego część południowa, to znowuż jeden bezkresny las i dżungla.

Wyobraźcie sobie taki kontrast: Sahara, łąd suchy, bez kropelki wilgoci, bez roślin i zwierząt, pogrążony w takim milczeniu, jakby nakryty był kloszem, spod którego wypompowano powietrze, — a z drugiej strony Kongo, chaos zieleni, przesycony parną wilgocią, napełniony wrzaskiem papug i małp, rykiem hien, szumem niezliczonych owadów.

Dziwna zaiste jest Afryka. Czy wiecie, że w puszczy pod równikiem panuje w nocy ogłuszający hałas, tak wielki, że mówiąc, trudno się wzajemnie usłyszeć? Czy wiecie, że pora deszczowa, tak zwana massika, pokrywa ogromne przestrze-



BUDOWA DROGI



TRAGARZE KOŚCI SŁONIOWEJ

nie trzęsawiskami i rozlewiskami wód? Czy wiecie, że na Saharze, w t. zw. wadi, rzeki powstają i znikają w ciągu jednego dnia? Czy wiecie, że w Afryce południowo-zachodniej żyją plemiona ludzi, których wzrost sięga nam do pasa? Czy wiecie, że na rzece Zambezi są wodospady wysokości blisko 1.000 metrów? Czy wiecie, że w górnym Egipcie, pod Assuanem, deszcz pada raz na 10 lat?

Dziwna jest Afryka. Dotychczas jeszcze, w głębi puszczy Konga, Kamerunu i Wybrzeża Kości Słoniowej utrzymuje się obyczaj ludożerstwa. Dotychczas jeszcze odbywają się w Afryce polowania na niewolników, podczas których z powierzchni ziemi całe osady i plemiona murzyńskie, wytępione ogniem i mieczem. Dotąd jeszcze żółta febra, śpiączka i ospa dziesiątkują lud-

ność tak, że całe połacie ludnego kraju zamieniają się w pustynie.

Jakże olbrzymie są kontrasty obyczajowe i cywilizacyjne między takim np. Egiptem, czy Algierem, a wybrzeżami Wielkich Jezior lub górskim krajem Basuto. W samym Egipcie zobaczysz obok siebie wspaniałe dzielnice nowoczesne, zbytkownie urządzone hotele, sznury aut na asfaltowanych ulicach... i nędzne szałaszy koczujących, kędzierzawych Sudańczyków, którzy obozują pod miastem, a nawet i w mieście, na rumowiskach opuszczonych, rozwalonych domów.

Dziwną jest Afryka. Zobaczycie tu obok siebie prastare świątynie, pokryte hieroglifami i nowoczesne tamy rzeczne. Zobaczycie zboże młócone tak, jak przed 5.000 lat, racicami wołów, chodzących wokółko po klepisku i uliczki pustynnej oazy Kharga, wyżłobione w ziemi, niby korytarze wielkiego kretowiska, dla osłony przed zabójczym słońcem podzwrotnikowym.

Są na Saharze, na południe od Marokka i Algieru, miasta tajemnicze, zatajone w piaskach, pomiędzy łańcuchami wzgórz i falistymi wydmami, do któ-



OCIEMNIAŁY MUZYKANT

rych nie dotarła jeszcze noga Europejczyka. I są niedaleko od nich wielkie trakty komunikacji automobilowej, zorganizowanej żmudnym wysiłkiem Fran-



OSIEDLE W PIECZARACH



O A Z A

cuzów, poprzez obszary pustynne. Są w urwistych, niedostępnych górach Atlasu kryjówki słynnych Riffenów i innych szczepów arabsko-berberskich, broniących zaciekle swej niepodległości. Są gniazda rozbójniczych Tuaregów, napaściujących karawany.

Dziwna jest Afryka, ten kraj kontrastów i niespodzianek. Pomiędzy północną strefą pustyni i południową strefą puszczy ciągnie się na przestrzeni wielu tysięcy kilometrów olbrzymi pas przejściowy, rozpoczany od Timbaktu nad Nigrem aż do granic Abisynji i wybrzeży oceanu Indyjskiego, objęty wspólną nazwą Sudanu. Sudan, to tajemnicze, wciąż jeszcze niezbadane rojowisko niezliczonych plemion murzyńskich, arabskich i mieszanych, ludów o skórze czarnej, popielatej, brunatnej i czekoladowej, stanowiących przedziwną mieszaninę ras, wierzeń i obyczajów.

Zupełnie inny krajobraz i charakter ogólny ma angielska Afryka Południowa, rozciągająca się od Kapsztadu aż do granic Konga. Panuje tutaj cywilizacja europejska, dzięki długoletniej kolonizacji tych murzyńskich, hottentoc-

kich i buszmeńskich terytorjów przez Holendrów i Anglików. Tu znajdują się owe krainy Transvaal i Oranje, niegdyś wolne republiki Burów, bogate tereny eksploatacji złota i diamentów.

Afryka, kraj palm, akacji i baobabów, kraj lwów, wielbłądów, żyraf, słoni i antylop, kraj tysięcy plemion i języków, kraj żółtej febry i muchy tse-tse, której ukąszenie powoduje straszną chorobę śpiączki, — deptana była nieraz stopami polskich żołnierzy i podróżników. Tutaj, na murach Aleksandrji, walczył i zginął waleczny Sułkowski. Tu na Madagaskarze założył swoje państwo nieustraszone Beniowski. Tu, w parych lasach górzystego Kamerunu, zatknął polską flagę Rogoziński. Tu, w górach Marokka i Algieru walczą i cierpią dziś jeszcze polscy żołnierze z Legji Cudzoziemskiej. I tu wreszcie trudzą się owocnie pierwsi nasi plantatorzy w Angoli, marzący o stworzeniu przyszłego polskiego mocarstwa kolonialnego. A bandera z Białym Orłem dociera coraz częściej do afrykańskich portów na okrętach wolnego, odbudowanego państwa polskiego.

Jerzy Braun



W ALGIERZE

U B E C Z U A N Ó W

Tłum czarnych głów otoczył szerokim kręgiem miejsce na wzniesieniu, gdzie zawsze odbywały się uroczyste obrzędy i narady. Miarowej terkot hębna zlewał się ze śpiewnym pokrzykiwaniem pula-pula-pula w dziki, nieustający hałas. Towarzyszyły temu lekkie podrygi i przysiady.

Pośrodku stał kapłan - deszczotwórca. Beczuanie spoglądali ze skupioną uwagą na jego czynności. Był to lud o śmiałym wejrzeniu, rosły i po murzyńsku piękny, ale wyraźnie zbiedzony.

Teraz największą ich troską był brak wody. Zebrali się oto, by wymodlić deszcz.

Kto bodaj trochę miał styczność z mieszkańcami pustynnej Kalahari (połudn. Afryka), ten wie, jak niemiłosiernie spustoszenia czyni wśród nich posucha. Brak deszczów dokucza Beczuanom bardziej, niż innym plemionom Kafirów. Nie więc dziwnego, że kapłan deszczotwórca cieszy się u nich nadzwyczajną powagą.



CZARODZIEJ



WIOSKA MURZYŃSKA

„On jest mądry i wie, co jest przyjemne duchom przodków, a za co się gniewają. Mało ofiar z kóz i wołów, mało deszczu. Dużo ofiar, dużo deszczu”.

Tak wierzy poczciwy ludek Beczuanów. Tak wierzą inni Kafrowie.

Od kilku tygodni trwa już posucha. Nie pomogły zaklęcia kapłana i kropienie drzewa „tabu” (nietykalnego), rozdartego od pioruna. Zagniewanych duchów nie wzruszyła nawet ciężka ofiara kilku kublów wody, któremi skropiono w trzech miejscach wyschnięte pola. — Ofiara ta zubożyła i tak skromny zapas wody, a niebiosa ciągle były głuche.

Kapłan był w wielada kłopotcie. Napróżno wysilał swą fantazję i wynajdywał najdziwniejsze przyczyny gniewu bóstw. Aż wkońcu wpadł na nowy pomysł. Zwołał właśnie mieszkańców osady, aby po odpowiednich ceremonjach oznajmić radosną wieść.

Wśród nieprzerywanego śpiewu pula-pula rozniecono święty ogień.

Kapłan uniósł obie ręce ku niebu.

Przez pewien czas stał tak w milczeniu, poobwieszany skórkami, blaszkami, z narzuconą na piersi i plecy dziwacznie wykrojoną płachtą.

Uciszyło się. Zaczął mówić powoli, z powagą:

— Oto stał się cud. We śnie objawił się mi duch wielkiego przodka. Gniewny był i kłął wiernego kapłana za to, że nie pamiętał o tem, co jest duchom miłe. Oddawna już nie składał ofiary — ze strusia. Struś jednak musi być cały, zdrowy; ani jedno piórko w skrzydle nie może być złamane. Nie będzie takiego strusia, — nie będzie deszczu.

Wyrok bóstwa był wyraźny. Beczuanów ogarnęło niezwykle podniecenie. Nadzieją i troską równocześnie napełniły się ich serca. Wiedział kapłan, co mu się przyśnić miało. Złapać strusia



MAŁA NIANIA



WOJOWNICY Z UGANDY

nielatwo, a już niemożliwością niemal jest, by go przy tem nie uszkodzić.

Zanim jednak wyruszono na wyprawę po strusia, musiano dokończyć zaczęłą ceremonję.

Znów zawarczał bęben i rozległo się powolne, monotonne pula-pula.

Wtem — stało się coś naprawdę niepojętego. Wiatr podniósł tumany kurzu, a na horyzoncie zarysowała się wyraźnie ciemna, deszczowa chmura.

Tłum zamarł w oczekiwaniu. W kilka minut potem gwałtowna ulewa zalała poprostu strugami wody osadę i wysuszone pola.

Beczuanów ogarnął szal. Skakali z radości. To, co się stało, było nie do pojęcia. Kto spuścił deszcz, skoro strusia jeszcze nie złapano? Gdzie kapłan? Szukać kapłana! Zniknął.

Ciemne mózgi zaczęły wreszcie pojmować oszukaństwo. Wzburzeni wyruszyli tłumnie w kierunku szałas kapłana. Ten, kryjąc zakłopotanie, wybiegł do nich z triumfującą miną, i zawołał, wskazując na starą kobietę, która coś zakopywała w ziemi:

— Patrzcie, oto moja żona zrobiła

deszcz. Znalazła zapomnianą w chacie grudę soli i zakopuje ją. Sól odpędzała deszcz. Sól zakopana. Niema soli, jest deszcz. A gdy będzie struś, będzie znowu deszcz.

Beczuanie uspokoił się natychmiast. Z powagą i spokojnie odeszli.

— Mądry i dobry jest nasz kapłan-deszczotwórca, — on wie, jak robić deszcz.

C Z A R N Y H A R C E R Z

Janek Landowski, syn lekarza, który od paru lat osiedlił się w stolicy Abisynji, jechał leśną drogą ze swym nowym przyjacielem, Gabbe Mariam.

Janek Landowski został zaproszony przez Abisyńczyka na dłuższy pobyt do jego domu, leżącego na szczycie góry i dużo sobie obiecywał po tej wizycie. Jeszcze dotychczas nie miał okazji zapoznać się bliżej z życiem Abisyńczyków, bo jego znajomi w mieście, to byli wszystko Europejczycy.

Ojciec Gabbe Mariam był wyższym urzędnikiem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Abisynji. Pragnął on dla swego kraju dobrodziejstw cywilizacji europejskiej i bardzo popierał wszelkie dążenia cywilizacyjne panującego obecnie Negusa. To on zaproponował swemu synowi, żeby zaprosił Janka na dłuższy czas do siebie.

Kończyła się już pora deszczowa. Wszędzie rozpościerała się czarowna, przebogata roślinność. Dzikie drzewa

oliwne, cedry, eukaliptusy, „kussosy” o czerwonych kwiatach, potężne jałowce, krzewy jaśminu, obsypane kwieciami, wydającym upojną woń, składały się na ten las. Wśród zieleni śpiewało mnóstwo ptaków.

— Prawdziwy raj — rzekł Janek.

— Och, byłby to raj — odparł Abisyńczyk, — gdyby w tym raju nie kryło się tyle zła ludzkiego. Z jednej strony nasi starzy opierają się, jak mogą, postępowi i starają się zachować zwyczaje, jakie dobre byłyby tysiąc lat temu, a z drugiej Europejczycy na każdym kroku drażnią nas, podkreślając ciągle naszą niższość. A teraz już wyciągają rękę po naszą własność. Myśmy jeszcze wierzyli w Ligę Narodów... ale teraz zostaje nam tylko siła naszego ramienia. My, harcerze abisyńscy, byliśmy wychowywani w wierze w braterstwo ludzkości, w zrównanie wszystkich ras, a pierwszą naszą czynnością będzie nie bratanie się, a wojowanie.



KRAJOBRAZ ABISYŃSKI



DZIECI ABISYŃSKIE

— Przybywamy już — zmienił temat rozmowy — to jest nasza hafa (wieś). —

Janek ujrzał wysoki mur z gliny, biegnący z boczem wzgórza. Zza muru wyglądał dach blaszany i okrągłe strzechy „tukulów”. Przed drewnianymi wierzejami stał bosy, biało ubrany człowiek z karabinem na ramieniu.

— To nasz „zabania” Mikael — rzekł Gabbe Mariam.

Tymczasem strażnik otworzył wrota i chłopcy wjechali do zagrody. We wnętrzu „zeriby” Janek ujrzał domek, zbudowany na wzór europejski. Opodal niego stało kilka okrągłych „tukulów”, zbudowanych z gliny i krytych słomą.

— W domu europejskim będziemy my mie-

szkali. Tutaj też zawsze mieszka ojciec, jak przyjeżdża z ministerstwa.



MALI ABISYŃCZYCY



WODZOWIE SZCZEPÓW Z KOLONJI WŁOSKIEJ

Matka jednak nie lubi tego domu i najchętniej przebywa w swoim tukulu. Pójdziemy tam, żeby cię poznała.

Chłopcy zsiadli z mułów. Gabbe Mariam wziął Janka pod rękę i poprowadził w kierunku najokazalszego z tukulów, z którego strzechy wydobywał się dym.

— W naszych tukulach niema komińców, ale robimy to umyślnie dlatego, żeby termity nie zjadły dachu. Tylko dym potrafi je odstraszyć.

Weszli do tukulu, gdzie krzątało się kilka kobiet. Jedna z nich, ubrana w bogato haftowaną szatę, siedziała na niskim „angarebie” (rodzaj tapczana) i przędła kądziel.

— Bądź pozdrowiony, przyjacielu mego syna — rzekła w ambarskiej mowie, którą już Janek nieco rozumiał — zasiądź przy naszym ognisku i posil się. Jest świeża „indżira” (rodzaj racuszków) i gotowane mleko i miód. Jest też pieczona kura. A potem pójdiesz spocząć do europejskiego domu, żeby ci nie było przykro, żeś pozbawiony wygód.

Apetyt po podróży dopisywał chłopcom, więc dawali prawdziwy koncert je-

dzenia, a pani Woizeru przyglądała się temu z zadowoleniem.

Nagle rozległ się w zerbie głos bębna. Gabbe Mariam zerwał się i wybiegł z tukulu. Za nim Janek.

W bęben walił z całych sił „zabania” Mikael. Na ten głos z dalszych chat wybiegło kilku mężczyzn z karabinami na ramionach, a za nimi kobiety, niosące węzłki.

— Co się stało? — zapytał Janek przyjaciela.

— Mobilizacja. Nieprzyjaciel w granicach. Na rozkaz bębna każdy jest obowiązany śpieszyć do wojsk Negusa. Tak samo nasza drużyna już ma wyznaczone miejsce działania.

Tymczasem „zabania” coś wołał, to wstrząsając rękoma, to bijąc w bęben. Odpowiadały mu dzikie krzyki wojowników.

— On powiada, że Włosi zbombardowali nasze miasta, że są tysiące zabitych i rannych. Wojna! Wojna! O Boże, jakie to straszne! Janku, ty tu nie możesz zostać ani chwili. Ci ludzie nie rozumieją, że jesteś naszym przyjacielem! Musimy wracać do Addis Abeby! Tam i na mnie czekają!

L. Życki-Malachowski



Trudno było usnąć. Latały motyle
wielkie jak nietoperz, kosmate niemile.
Pod splotami kwiatów, lian, gałęzi, kiści
rozchodził się cierpki zapach twardych liści.

W czarnej, gwarnej nocy trzaskało ognisko,
dym się siał dokoła i lew ryczał blisko.
Trudno było usnąć, broń wypuścić z dłoni.
I cóż jest wart człowiek w Afryce bez broni?

Znowu lew zaryczał. Drży namiotu płótno.
Tu nietyle straszno ile bardzo smutno.
Śpią czarni tragarze skuleni, zziębnięci;
ich ta smutna ciemność dżungli tak nie nęci.

Ale nas, wędrowców dalekiego kraju
dusi czarny urok afrykańskich rajów.
Na głowie się kładzie męczącą obręczą
pogłos z głębi puszczy — to tam-tamy jęczą...

Jęczą wielkie bębny, głos to niespokojny.
Może wzywa na łów, a może do wojny?
Trudno, trudno usnąć w mroku tajemniczym —
bębny, groza, ciemność... I lew blisko ryczy.

Henryk Zaslawski

NA KRAŃCACH KALAHARI

Sucho szeleszczą wysokie, wypłowiałe, zeszłoroczne trawy. Między nimi przebijać się poczęły z uśpionych w okresie suszy — od maja do lipca — cebulek i kłaczy — nowe łośdygi. Rozkwitły przeróżne storczyki i krzewy

okryły się soczystą zielenią. Na jasnym tle ciemniejszymi plamami odcinają się korony rosnących grupami akacyj „karuru”, o pięknych, żółtych kwiatach i długich kolcach, białych i twardych jak kość słoniowa. Łagodną pochyłością



L W Y

przechodzi sawanna—step afrykański— w kotlinowatą zapadlinę. Gęste zarośla akacyj i innych krzewów otoczyły ją wieńcem, tworząc wraz z wysokimi skupiskami trzcinowatych traw przepiękną oazę na dnie dolinki...

Bliska już była godzina nagłego zmierzchu podzwrotnikowego. Niema tam powolnego pożegnania ziemi ze słońcem. Mrok zapada odrazu — ciemną, gwiazdzistą kotarą. Na dnie kotlinki iskrzyła się w obramowaniu soczystych traw życiodajna woda — największy skarb pustyni. Szerokie drogi i wąskie przesmyki, upstrzone tropami przeróżnej zwierzyny, biegly we wszystkie strony.

Szaro-płowy z ciemną grzywą lew rozłożył się w haszczach traw, nawpół drzemiąc, nawpół czatując... Odbył długą, bardzo długą wędrówkę. Przybył tu przed paru dniami. Ojczyzną jego były wybrzeża Loango — dziewicze lasy, najpiękniejsze bodaj w całej Afryce zachodniej. Tam potężne, wiecznie zielone drzewa łączyły w ciasne sklepienia swe

korony. Pnie przeplecione giętkimi splotami pnączy — grube i proste jak kolumny świątyni, lub cienkie, guzowate i dzielące się na liczne konary, ginęły w górze. Ociężałe hipopotamy zamieszkiwały niedostępne bajora i zalewiska rzek tropikalnych, a w bliskim sąsiedztwie współbytowały z nimi białe i dwurożne nosorożce oraz rude świnie pendzelkowate. Stada ogromnych bawołów z olbrzymimi rogami pały się w pobliżu bagien. W najbardziej zapadłych zakątkach kryły się rodziny goryli i szympanśów. Przebywał tam również przebiegły i krwiożerczy krewniak lwa — lampart. Wielkie słonie trafiały się dość rzadko, bo główną ich ostoją jest Afryka Środkowa. Mało zresztą obchodziły one królewskiego wędrowca. Głównym łupem jego były dzielnie broniące się bawoły, leśne antylopy, dzikie świnie, rzadziej — słabsze nosorożce i wreszcie bydło tubylców. Ostatnimi czasy zasmakowało mu ludzkie mięso. Spróbował raz; pastucha na przesmyku poszarpał — i zaczął od tej pory delectować się od czasu do cza-

su krwią ludzką. Rozjuszony tłum mieszkańców wioski postanowił się zemścić, lecz ludożercy udało się wymknąć z koła nastroszonych dzid. Zlekka pokaleczony zbój zaczął uciekać na południe, aż natrafił na bezludne pustkowia. Wychudzony, osłabiony, parę dni wylegiwał się biedaczysko w wysokiej trawie. Nie było tu ciężkich, ponurych bawołów Afryki Środkowej, lecz sawanna roiła się zato stadami najrozmaitszych antylop. Były tu dość nieliczne, wielkie „jeleniobyki”, „kudu”, „sarnobyki” (oriksy) i tysiączne gromady „gazeli-skoczków”. W dolinach rzek trafiały się koźły błotne — „nagory” i wiele innych pokrewnych gatunków. Zdarzało się czasem, że przez nudną, szaro-zieloną płachtę sawanny przebiegały barwne stada „gnu” i zebra, zwykle trzymających się razem. Na bardziej jałowych krańcach, na południe od rzeki Botlebi, przebywały żyrafy.

Zrana i wieczorem przewalały się mnogie rzesze różlicznej zwierzyny stadem, oddawna wydeptanemi ścieżynami, mającemi niekiedy wygląd dróg bitych. Drogi te stanowiły albo szlaki stałych wędrowek, związanych z okresami deszczu i suszy, albo prowadziły do życiodajnych źródeł. Tego wieczora zwierzyna również skierowała się w stronę źródła, ukrytego w cieniu gęstwiny, na dnie kotlinki... Lew nie był zbyt głodny — sprzyjało mu szczęście i pierwszego dnia po przybyciu do tej krainy uraczył się dosyta resztkami wielkiej antylopy, ubitej przez innego lwa tubylca. Chciało mu się jednak skosztować świeżej zwierzyny. Zaczaił się przy ścieżce i czekał cierpliwie. Po drugiej stronie strumienia ukazały się zgrabne gazy, ugasiły pragnienie i pomknęły w śmigłych poskokach, jak czerwono-białe piłeczki. Podeszły z różnych stron stada in-



NOSOROŻEC

nych zwierząt — gnu, zebry, kudu... Wreszcie trzy antylopy — jeleniobyki zbliżyły się do lwiej zasadzki. Mignęła szaro-żółta błyskawica i antylopa padła, przywalona ciężarem królewskiego zwierza. Lew, chwyciwszy ofiarę za szyję, z cichem, kasłającym warczeniem pociągnął ją, włócząc po ziemi, do pobliskich zarośli.

Po spożyciu smacznej polędwicy, boku i wnętrzności, lew odpoczął chwilę, trawiąc w skupieniu. Potem wstał, pochylił głowę i głucho, jęklonie ryknął — aż zadrżała ziemia, otulona mrokiem. Zdala ozwały się w odpowiedzi ryki innych lwów — szczęśliwie powracających z łowów. Głodny, lub skradający się ku upatrzonej zdobyczy lew nigdy nie ryknie; ryk ten jest dumnym oznajmieniem własnej potęgi i wszechwładności. Noc tropikalna, rozedrgana grzmotami lwich poryków, rozekłana skomleniem szakali, do płaczu dziecka podobnym, otuliła sawanny ciemnym aksamitem.



HIPOPOTAMY

Lew zbudził się po północy, zjadł pozostałe mięso — i ruszył przed siebie. Słyszając głosy nieznanych dotychczas krewniaków, chciał się z nimi bliżej zapoznać. Wkrótce zbliżył się do niewielkiej rodziny, składającej się z dużego, jasno-płowego lwa, lwicy i trzech prawie dorosłych lwiat. Ojciec rodziny złowrogo spojrział na przybysza i chrapliwie zamruczał, bijąc się ogonem po bokach. Nie przeraziło to jednak srogiego ludo-

zercy z dziewiczych lasów. Warknął wyzywająco i czołgając się wśród wysokich traw, zbliżył się ku prawowitemu właścicielowi tych terenów łowieckich. Mięła krótka chwila — i przeciwnicy zwarli się w groźnym uścisku. Charcząc, wpijając jeden w drugiego pazury i kły, lwy walczyły zaciekle. Szala zwycięstwa przechylać się zaczęła na korzyść przybysza. Lwięta, dostatecznie wyrosłe dla samodzielnego życia, uciekły, kryjąc się w ciemności. Lwica biernie przyglądała się walce, czekając na jej wynik.

Wreszcie zwyciężony wyrwał się spod ciężkiego cielska przybysza i umknął, zawstydzony porażką. Ociekający również krwią pogromca wydał głęboki, radosny okrzyk i powędrował ze zdobytą towarzyszką do swego legowiska, wśród nieprzebytej gmatwaniny traw. Od tego czasu lew znad Loango niepodzielnie zapanaował w swoje nowej majętności, szerząc popłoch wśród lwów i spustoszenie wśród antylop i zebra.

Inż. Włodzimierz Lindeman

PODRÓŻ BEZ PODRÓŻY

— Chłopcy, jest list od Mietka! — zawołała mama z drugiego pokoju. — Z Dakaru!

Bolek i Lutek rzucili się do drzwi, jak lawina, cyklon i stado bizonów razem.

— Marki! Marki! — darł się Bolek, wyciągając ręce po kopertę.

— Ależ nikt ci nie zabierze tych twoich marek! — rozłościł się Lutek. — Także skarb: kolorowe świstki papieru z napisami: „jeden cent”, „dwa centy” czy „dziesięć centów”!..

— Co ty wiesz! — mruknął Bolek, oddzierając kawałek koperty ze znaczkami pocztowymi. — O, z Senegalu! Arabskie litery — słowo daję.. Wspaniały! Takiego nie ma nikt w całej klasie!..

— Nie widzę w tem nic wspaniałego — bąknął Lutek. — Co innego wido-kówki albo fotografie! Ale co jest ciekawego w takich znaczkach? Nawet człowiek nie wie, jak wygląda kraj, z którego one pochodzą.

— Tak? — oburzył się Bolek. — A Sfinks z piramidami na znaczku: egipskim — to nic? A zebra z Nyassy za pięćdziesiąt reisów? A zielona Ka-na-





WOJOWNICY

da za dziesięć, albo fioletowa za trzy-
naście centów — to nie są widoki?
Zresztą w znaczkach nie chodzi tylko
o widoki. Niektóre znaczki są warte
kilka tysięcy złotych. A wogóle zbieranie
marek to cała sztuka. Niedarmo
się tak ładnie nazywa: „filatelistyka”!

— A niech się sobie nazywa, jak
chce, ale znaczków z widokami jest bar-
dzo mało. A przeważnie są jakieś por-
trety, albo herby i cyfry, a to chyba nie
jest ciekawe. Co innego fotografje! Ma-
mo, czy Mietek przysłał dla mnie jakie
widokówki?

— Są, są. Obejrzyjcie je sobie, za-
miast spierać się o marki i fotografje.

Lutek schwycił karty i nachylił się
nad niemi z zapalem, a Bolek stanął
sobie zboku i patrzył przez ramię, żeby
znowu Lutkowi nie wydawało się, że to
jest już tak ogromnie ciekawe.

— O, port afrykański! — wołał Lu-
tek. — Jakież towary... Może kość sło-
niowa?

— W workach? — prychnął Bolek.

— A czemu nie? Zresztą wszystko
jedno. W każdym razie jakieś dziwne,
zagraniczne towary!

— Teraz druga fotografia: pirogi
murzyńskie!

— Pirogi?

— Jak się nie znasz, to nie dowcip-





TARG ARABSKI

kuj! Takie łodzie nazywają się właśnie „pirogi”. Murzyni jeżdżą nimi w dalekie podróże, na wyprawy wojenne i na polowania.

— A to co za potwór?
 — Wcale nie potwór! Właśnie to jest wojownik senegalski. Ma krótką szabelkę przy prawym boku i jakąś spi-



ODKRYWKA DIAMENTÓW

czastą kobiałkę na zapasy. A na szyi ma ozdoby i amulety...

— No, piękny to ten twój wojownik nie jest. A i te damy na drugiej widokówce także nie grzeszą pięknnością.

— Wcale mi nie chodzi o to, żeby byli piękni. Ale spojrzysz na ich ubranie, na ozdoby, na te naczynia, wydłubane z drzewa — czy to nie jest ciekawe? Pomyśl sobie tylko, że oni wszystko, co im potrzeba, sami wyrabiają: i miski, i narzędzia, i broń, i łodzie—wszystko! A przecież nie mają żadnych fabryk, ani nawet porządnych warsztatów. Ba! — nawet żelazo nie wszyscy znają, albo mają go bardzo mało...

— A ta para w długich płaszczach to już chyba wszystkie możliwe kolory pozawieszała na sobie!

— No, cóż? — Oni mają inny gust, niż my. Zresztą w takim jasnym słońcu, jakie jest w Afryce, wygląda to napewno dobrze. Ten strój podobny jest trochę do arabskiego



MŁODA MURZYŃKA



PIĘKNOŚĆ MURZYŃSKA

i myślę, że to muszą być mahometanie. Bo jest sporo murzynów mahometan.

— To oni nie są poganie?

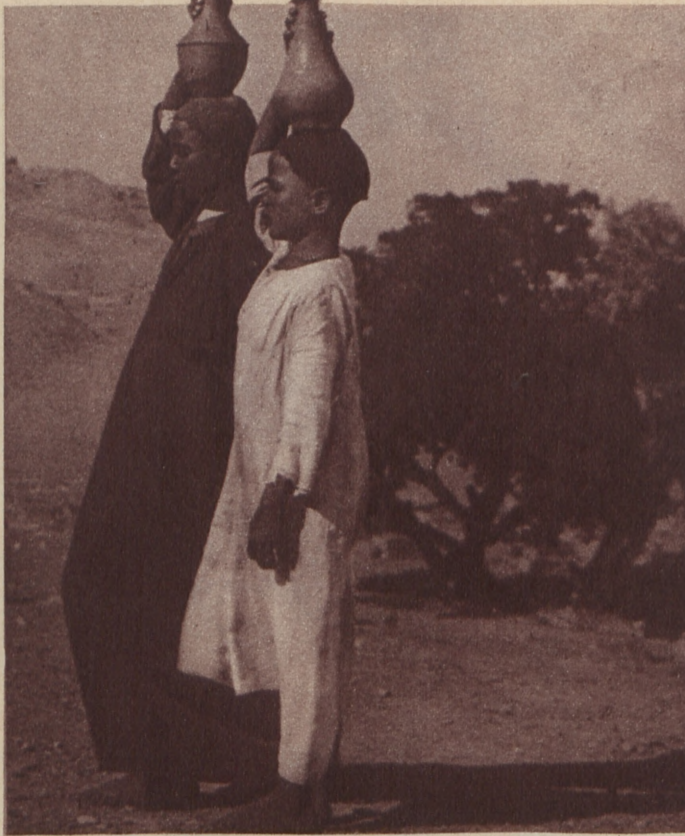
— Są i poganie, ale przecież nie wszyscy. Teraz jest nawet sporo chrześcijan, bo pracuje tam wiele misyj chrześcijańskich. Są nawet i polskie: w Rodezji.

— Pi, pi! Jesteś, niczem encyklopedia afrykańska!

— Mój drogi, jak ktoś ma zamiar zostać podróżnikiem i zbadać źródła Nilu, jak Livingston i Stanley, to musi wszystko wiedzieć.

— Ten ktoś — to niby ty?

— Nie „niby”, tylko ja. Mój Boże, jaki ten Mietek szczęśliwy, że jest



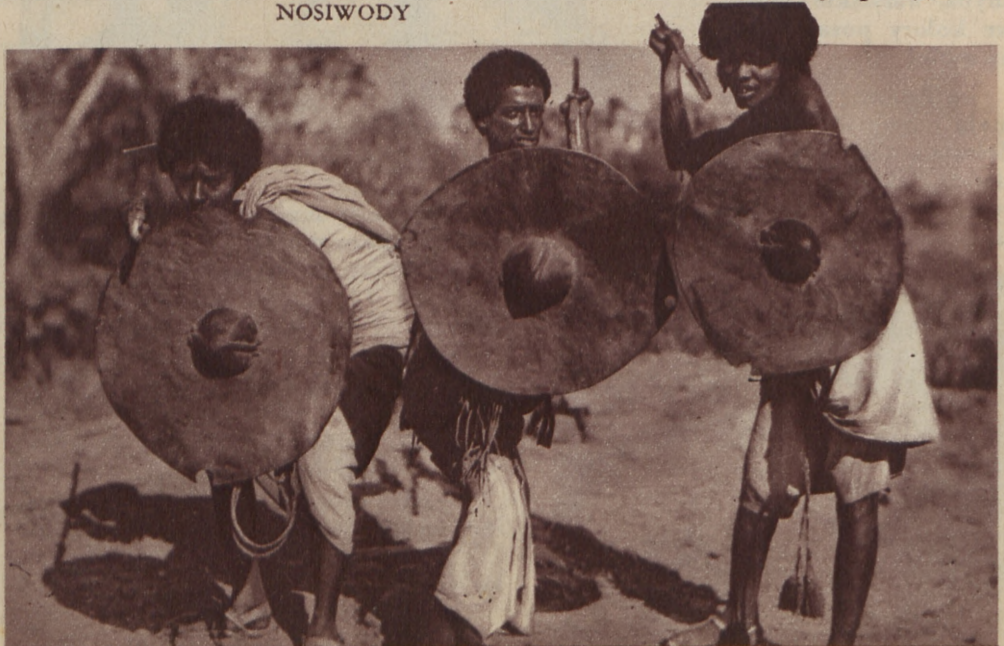
NOSIWODY

w Afryce! Mamo, co on pisze w liście? Czy opisuje dokładnie Afrykę?

Mama podniosła głowę znad listu i uśmiechnęła się:

— Niebardzo miał na to czas. Pisze, że „Dar Pomorza” stał w Dakarze tylko parę godzin. Mietek zwiedził zaledwie miasto i najbliższe okolice. Pisze, że opowie wam, co widział — po powrocie.

— Ach, ten Mietek! — jęknął Lutek. — „Po powrocie”! To człowiek siedzi kamieniem w atlasach i opisach podróży, zbiera widokówki i fotografie, a rodzony brat, który jest w prawdziwej podróży, obiecuje opowiadać dopiero „po powrocie”! I jeszcze widokówek przysłał, jak na lekarstwo! Ledwo człowiek liznął tej Afryki! Gdybym ja podróżował



WOJOWNICY SOMALIJSKY



SZKOŁA W MAROKKO

tak, jak on, tobym wszystko a wszystko opisał. Napisałbym ot, takie grube książki!

— A jabym odkrył kopalnię drogich kamieni i zebrałbym ogromne skarby!

— No, i cobyś z nimi robił?... Ja tam marzę tylko o podróżach!

— Ostatecznie możnaby i podróżować — zgodził się Bolek. — Ale zbieranie fotografii i widokówek, jak się tego wszystkiego nie widziało naprawdę — to według mnie wcale nie ciekawe.

— Właśnie, że ciekawe. Przedewszystkiem do każdej podróży trzeba się przygotować. A po drugie, takie zbie-

ranie, to już jakby trochę podróż. Taka czarodziejska „podróż bez podróży” w czapce-niewidce, na dywanie latającym.

— W takim razie i marki też są taką „podróżą bez podróży”! — upierał się Bolek.

— No, może i są — zgodził się dla świętego spokoju Lutek. Był przecież o całe półtora roku starszy od tego brzdąca — Bolka. A przytem chciał już prędzej zajrzeć do atlasu i upewnić się, gdzie to jest ten Dakar, z którego przywędrował do nich list brata.

Jerzy Ostrowski

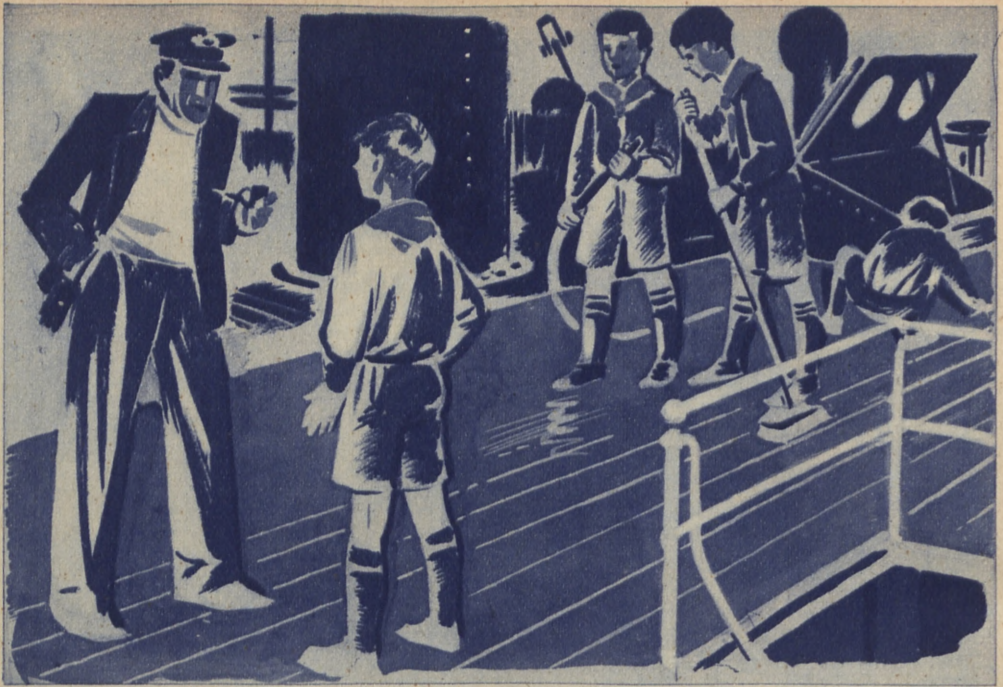
POLSCY ROBINSONOWIE

Kiedy chłopcy skończyli pieśń i obejrzeni się, ujrzeni ze wzruszeniem, że kapitan, sternik Dżems i wszyscy obecni marynarze salutują uroczyste polski sztandar i polski hymn.

— Czapki wdziej! — huknął Mietek.

Wtedy podszedł do niego długi kapitan i powiedział, podając mu rękę:

— My tam w Anglii myśleliśmy



zawsze, że Polska jest krajem niedo-
łęgów. Ale jeśli kraj wasz ma sporo
takich zuchów jak wy, to stanie nie-
długo w rzędzie pierwszych narodów
świata. Cieszę się, że mogę was go-
ścić na swoim statku.

— Tenk ju! — powiedział krót-
ko Mietek.

Potem podszedł do nich sternik
Dzems i spytał:

— Wy jesteście skautami, tak?

— Tak.

— Powiedzcie mi, co to jest taki
skaut? Widziałem ich naprawdę du-
żo w Anglii, ale nie wiem dobrze co
to jest?

— To jest chłopiec, który umie
ciąć sobie radę we wszystkim i któ-
ry pomaga innym — objaśnił Mie-
tek.

— Aha! — mruknął Dzems. —
To zdaje mi się, że z was będą kiedyś
prawdziwi skauci.

Tego wieczoru Mietek powiedział:

— Słuchajcie, chłopcy! Nie mo-

żemy jeść darmo chleba na okręcie.
Musimy się wziąć do jakiejś roboty.

— Ba, ale jakiej? — krzywił się
Wacek. — Zwijać żagle, to za trud-
no, palić w piecach — za gorąco,
a kierować statkiem — nie umiemy.

— Otóż myślę — ciągnął nieu-
błagany Mietek — że możemy: myć
pokład, zeszywać żagle i worki, po-
magać kucharzowi, podnosić mniej-
sze żagle, no i może jeszcze co się
znajdzie.

— To ja mogę pomagać kucha-
rzowi — ofiarował się Wacek.

— No, naturalnie! — zawołał Ju-
lek. — To było do przewidzenia.

— A ja? a ja? — dopominał się
„Breloczek”.

— Ty możesz zeszywać worki,
ubranie nasze i marynarzy — po-
owiedział Mietek. — A ja z Julkiem
weźmiemy się do mycia pokładu.

Nazajutrz rano długi kapitan za-
pytał groźnie Mietka:

— Kto wam kazał myć pokład?

Kto się ośmielił? Jesteście moimi gośćmi i koniec!

Mietek wyprostował zboląły krzyż i zaczął tłumaczyć uchwałę Wygwizdowa.

— Jakto? To i tego małego ptaszka zasadziliście do roboty? — oburzył się kapitan.

— Tak.

Kapitan ruszył kilka razy szyją, jak indyk łykający duży kęs jedzenia, potem powiedział:

— Gdybym nie był Anglikiem, chciałbym być Polakiem.

Mietek wyprostował się jeszcze więcej i odpowiedział:

— Tak, sir? A ja gdybym nie był Polakiem, to chciałbym być Polakiem.

Kapitan patrzył na niego chwilę i łapał powietrze, jak ryba wyjęta z wody, potem zaczął trząść się komicznie i podrygiwać, podrzucając ramionami. Tak wyglądał śmiech kapitana „Wiktorji”.

Ale praca szła chłopcom coraz trudniej, bo codziennie prawie zwiększały się upały.

— Chyba podjeżdżamy do piekła! — żalił się Wacek.

— Nie tyle do piekła, co do równika! — mrucał Julek, który także nieco stracił na humorze.

Minęli wreszcie równik, przy przejściu którego marynarze urządzili zabawną uroczystość. Poprzebierali się za Neptuna, Wodników, Syreny i różne potwory morskie. Kazali patrzeć chłopcom na gwiazdy przez blaszaną rurę, a zgóry leli w nią wodę, straszili nowicjuszów, że ich wrzuca do morza i moc innych żartów wymyślali.

Wkrótce potem „Wiktorja” minęła drugi zwrotnik, okrążyła połud-

niowy brzeg Afryki i dążyła szybko ku Oceanowi Indyjskiemu.

Po niedawnej wesołości nie było teraz ani śladu na „Wiktorji”. Kapitan wogóle przestał mówić i wyglądał jak długi, śmieszny automat, albo mumja, a Dżems chodził zły i mrucał. Wreszcie przyznał się chłopcom:

— Nie jestem pewien „Wiktorji”. Po ostatniej podróży powinna była być gruntownie naprawiona. A to tak: poklepali, połatali i puścili na wodę. Nasz kapitan kłócił się z tymi tam... z dykcji Towarzystwa, ale tym szczerom lądowym wydaje się, że to spacer po Tamizie, jachtem prosto z doków. Skąpiradła jedne!.. A trzeba wam wiedzieć, że Ocean Indyjski to zła bestja, chociaż niewielka. Jak pantera jaka! Doprawdy, wołę już Atlanty, albo Pacyfik!

Jednego z najbliższych dni po tej rozmowie rozpadał się deszcz. Szare strugi łączyły niebo z wodą i statek płynął zwolna w gęstej chmurze wilgoci. Palono ciągle ognie sygnałowe i syrena okrętowa ryczała co kilka minut.

Marynarze chodzili czarni, błyszczący i ociekający wodą w swych nieprzemakalnych płaszczach, a na całym okręcie panował dziwny niepokój.

Chłopcy prawie nie wychodzili na pokład. Siedzieli w swej kajucie i tylko po silniejszym chwianiu się okrętu poznawali humor morza.

Pewnego wieczoru zaczęło się jednak dziać coś bardzo dziwnego. Wydawało się, że okręt poprostu fika koziołki: to stawał prawie na dziobie, to na tyle, to kładł się na boku tak, że trzeba było dobrze trzymać się umocowanych na stałe sprzętów,

żeby nie porozbijać sobie głów. Co kilka minut okręt wylatywał tak wysoko, że śruba wynurzała się z wody i terkotała straszliwie, trzęsąc całym kadłubem okrętu. Wszystko dookoła trzeszczało, jakby statek rozlatywał się na drobne drzazgi.

— To chyba burza? — powiedział Wacek, spoglądając kolejno na wszystkich.

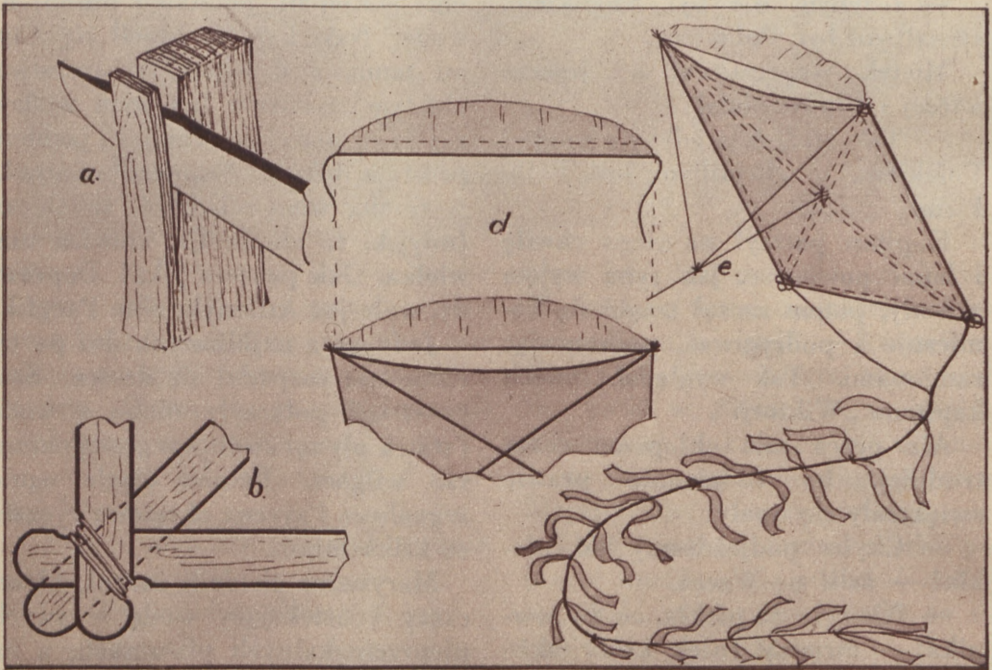
— Nie, to pewno zefirek powiewa! — powiedział ze złością Julek, trzymając się za łokieć, którym uderzył się gdzieś o kant.

C. d. n.

Jerzy Ostrowski

ROBIMY SAMI

LATAWIEC — DERKACZ



Mamy teraz silne jesienne wiatry. Puścimy latawca takiego, który będzie brzęczał i dlatego nazwiemy go derkaczem. Do wykonania latawca potrzebne nam będą listwy z drzewa sosnowego o drobnych słojach. Zrobimy je z klocka o grubości 12 milimetrów, odłupując nożem, jak wskazuje rys. a. Po odłupaniu wystrugamy listwy do grubości 2 milimetrów (pomożemy tu sobie szkłem). Listwy zwiążemy szarą nitką, ażeby się nie rozsuwały, zrobimy na nich

wcięcia, jak wskazuje rys. b. Związane listwy smarujemy klejem z mąki i przyklejamy do papieru (woskowany, pergaminowy), zawijając brzegi na listewkach (rys. c). Chcąc zrobić derkacza, ściągamy nicią dwa górne narożniki latawca i na nici naklejamy papier — rys. d. Ważną częścią latawca jest t. zw. „waga” — są to trzy nici związane w jednym punkcie e. — środkowa jest krótsza. Ogon robimy z pasków kolorowego papieru.

St. Dryczyk

NASZE RADJO

Hallo! tu Radjo zapowiada audycje na bieżący tydzień.

We wtorek, 29 października od godz. 12 m. 15 do 12 m. 30 audycja szkolna dla młodszych dzieci „O boćkach nieukach”. Jest to zradjofonizowana bajka pióra Benedykta Hertza i pewnie znana wielu słuchaczom, gdyż znajduje się w wypisach szkolnych. Tym, którzy nie znają tej bajki, powiem, że jest to smutna historia o boćkach, co uczyć się nie chciały.

Na środę, 30 października od godz. 16.00 do g. 16 m. 20 Lwów przygotował dla Was obrazek słuchowiskowy p. t.: „Kuba chciwiec”. Oj, nie będzie podobał się Wam ten Kuba, bo jest chytry i wszystko chce zagarnąć dla siebie.

We czwartek, 31 października od g. 16.00 Stary Pan Doktor zaprasza wszystkie starsze dzieci, aby posłuchały opowiadania „O małych dzieciach”.

W piątek, 1 listopada, w dzień Wszystkich Świętych, radjowy program będzie miał charakter poważniejszy.

O godzinie 16 m. 40 do g. 17.00 starsze dzieci usłyszą piękne słuchowisko

o treści historycznej p. t.: „Zaduszny apel” pióra Kazimierza Konarskiego. Generał Sowiński, waleczny obrońca Woli, na jej szanścach koło kościoła zgromadzi na apel żołnierzy walczących o wolność Polski.

Tego dnia porannej audycji nie będzie, bo pewnie wszyscy wybieracie się na cmentarz, aby odwiedzić groby swoich najbliższych.

W sobotę, 2 listopada od godz. 18.00 do g. 18 m. 30 „Teatr Wyobraźni” ze Lwowa nada opowiadanie dla starszych dzieci p. t.: „Nurek” opracowane według noweli Ferdynanda Goetla.

Na niedzielę 2/XI od g. 16.00 do g. 16 min. rozgłośnia katowicka przygotowała dla dzieci młodszych słuchowisko z cyklu: „Kukielki śląskie” p. t.: „Bal w świetlicy”. Wesoło będą hasać i bawić się dzieci na tym balu, napewno ich radość udzieli się i Wam przez radjo. Słuchajcie i bawcie się radośnie.

W poniedziałek, 4 listopada od godz. 18 m. 30 do g. 18 m. 40 „skrzyneczka radjowa” omówi listy starszych i młodszych radjosłuchaczy.

PLAN DO OPRACOWANIA MONOGRAFJI OKOLICY LUB OSIEDLA

I. Teren miejscowości lub obszaru.

1. *Położenie geograficzne danej miejscowości*: Położenie w stosunku do całego kraju, województwo, powiat i odległość od innych większych miejscowości. Granice naturalne i sztuczne, dawne i współczesne, przyczyny zmian. Wielkość osiedla lub obszaru. Przeglądowa mapa miejscowości i okolicy.

2. *Krajobraz okolicy*: Wygląd okolicy (nizinny, wyżynny, pagórkowaty, górzysty). Urzeźbienie powierzchni ziemi, nazwy nizin, dolin, gór, szczytów. Wzniesienie nad poziom morza. Miejscowości (okolice) godne wyróżnienia pod względem krajobrazu.

3. *Wody (rzeki, jeziora, stawy, morze)*: Sieć rzeczna okolicy, większe rzeki i ich dopływy, nazwy; brzegi rzek, prąd wody, głębokość i szerokość. Działalność wód rzecznych, niszczenie brzegów, wylewy, różna wysokość wód w różnych porach roku. Jeziora, nazwy, wielkość. Stawy.

Morze, brzegi morskie różnego rodzaju, niszczące i budujące działanie wód morskich, umacnianie wybrzeży. Zużytkowanie wód, ich siła.

4. *Gleby i bogactwa mineralne*: Rodzaje gleb i ich nazwy miejscowe; składniki gleby, przydatność różnych gleb do

uprawy, nieużytki, sposoby poprawiania nieużytków (osuszanie, nawodnianie). Podglebie, oraz głębsze warstwy ziemi zbadane przy okolicznościowych robotach ziemnych (głębokie rowy, studnie).

Minerały użyteczne, znajduwane i wydobywane w okolicy (gliny, piaski, skały, rudy, sole, węgle, ropa, gazy i t. p.), nazwy, jakość, sposoby wydobywania. Prace badawcze i poszukiwania za minerałami. Źródła mineralne, właściwości lecznicze i użytkowanie.

5. *Klimat*: Średnie temperatury, opady, zachmurzenia, główne kierunki i siły wiatrów na podstawie obserwacji z całego roku, lub jeśli w okolicy jest stacja meteorologiczna, to i z kilku lat.

Czas trwania różnych pór roku, szaty śnieżnej i charakterystyka pór roku.

6. *Rośliny i zwierzęta*: Szata roślinna okolicy, nazwy większych obszarów leśnych, wielkość, skład lasów; stosunek powierzchni zalesionej do obszarów pól i łąk. Łąki, pastwiska i ich roślinność; roślinność nadrzeczna oraz wód stojących i płynących, rośliny wybrzeża morskiego. Pola uprawne, najważniejsze rośliny hodowane na polach, w sadach i ogrodach.

Zwierzęta dziko żyjące pospolitsze; szkodniki wśród zwierząt, ich zwalczanie. Zwierzęta hodowane przez człowieka. Rzadkie rośliny i zwierzęta, gatunki, które już wyginęły; sposoby ochrony. Spis miejscowości, gdzie znajdują się jeszcze rzadsze rośliny lub zwierzęta. Osiedla wyprowadzające swe nazwy od nazw zwierząt lub roślin, wnioski stąd płynące.



Języki afrykańskie dzieli się na pięć rodzin: semicką, chamicką, Bantu, sukańską i buszmańską. Odpowiadają one grupom ludów, różniących się nie tylko językiem lecz i całą swoją kulturą.

Osobliwością języków buszmańskich jest używanie dźwięków mlaskających.

Ludy karłów z Afryki środkowej własnego języka nie posiadają i mówią wszędzie językami swych sąsiadów.

Murzyni umieją sygnalizować wiadomości przy pomocy bębnow z pni drzewnych, obciążonych skórą.

Wielkie piramidy egipskie mają ponad 2 miliony m³ objętości. Kamienie potrzebne do ich budowy były sprowadzane z odległości około 1000 km. Poszczególne bloki ważą do 20 tonn i są do 7 m długie. Układano je w budowie warstwą po warstwie przy pomocy maszyn dźwigów podobnych do naszych żorawi studziennych. Obeliski z jednej bryły kamiennej wysokie do 38 m a ważące

do 900 tysięcy kg, których stawianie było modne w Egipcie w 2-gim wieku przed Chr. sprowadzano również z kamieniołomów Górnego Egiptu. W miejscu ustawienia robiono nasyp-pochylnię. Wciągano nań obelisk i opuszczano na podstawę, wybierając powoli spod niego uspany piasek.

Egipskie piramidy budowano około 4500 lat temu. Nasi przodkowie byli w tych czasach jeszcze zupełnie dzikimi ludźmi, mieszkającymi w nawodnych osadach palowych.

Murzyni afrykańscy a zwłaszcza mieszkańcy Konga są bardzo zręczni i biegli w obrabianiu żelaza, kowalstwie, rzeźbie w kości słoniowej i wyplataniu mat. Buszmeni wyrabiają zdumiewająco artystyczne rzeźby w kamieniu.

Największa kolonialna potęga, Anglia, założyła w XVI w. pierwszy swój fort w Afryce, w kolonii Gambji, aby otoczyć opieką handel niewolnikami. Trzeba jednak przyznać, że później

pierwsza rozpoczęła walkę z tą hańbą europejskiej cywilizacji.

Nie przyczynia rozkoszy mieszkańcom Afryki pchła ziemna. Wwierca się ona pod paznokcie palców nóg i składa tam jajeczka, z których wylęgają się gąsieniczki, co oczywiście powoduje bolesne ropienia.

Plagą centralnej Afryki jest mucha tse-tse. Już dawno wiadano, że tam,

gdzie żyje tse-tse, pada bydło i konie. Przed kilkunastu laty stwierdzono, że jest roznosicielem groźnej także i dla ludzi choroby zwanej śpiączką, której zarazki zaszczepia przez ukąszenie.

Na Saharze noce bywają bardzo chłodne. Często zdarzają się nawet przymrozki ze szronem. Dnie zaś są bardzo upalne. Wahanie temperatury w ciągu doby od najniższej do najwyższej osiąga kilkadziesiąt stopni różnicy.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



ZADANIE GEOGRAFICZNO-PRZY- RODNICZE

Z podanych liter ułożyć najpierw 3 nazw zwierząt ssących, zamieszkujących Afrykę, a następnie otrzymane nazwy tak ustawić, aby niektóre litery, czytane pionowo, dały nazwę kraju afrykańskiego, walczącego obecnie o swoją wolność.

Litery: a r a a a a a a a a, b, e, f, h h, i, i, j, k, l l, l l, m, n n n, n, o o o o, ó, p p p p, r, s s, t t, w w, y y, z, z.

1. SZARADA

Druga — pierwsza wichur po pustyni, pali całość i suezka i słońce.

Trzecia — pierwsza czarna—to murzyni, mieszkańcy Afryki gorącej.

1. ZAGADKA

Niestrudzony trębacz,
trąbę nosi w zębach,
najpiękniejsza z trąb:
z lewej strony ząb,
z prawej strony ząb.

2. ZAGADKA

Garbaty kaleka,
a dźwiga człowieka.

3. ZAGADKA

Trzy litery w jedną stronę —
rzeka, dno ma zamulone.
Te litery wtył od końca —
ryba, w mulce pływająca.
Ale to jest nie ten muł,
co pół osła, konia pół.

ROZWIĄZANIA Z N-ru 8-ego

Rebus: Huculi noszą barwne stroje.
Szarada 1 — Stanisławów; 2 — Karpac.
Zagadka 1 — drut, Prut; 2 — buk;
3 — odjąć „ce”; 4 — tyle lat, ile zim.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:	W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)
miesięcznie zł. 1.10	miesięcznie zł. —.84
półrocznie „ 5.—	półrocznie „ 4.—
rocznie „ 10.—	rocznie „ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1. (wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny — Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK. Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

Druk. Rotograw. „Nowoczesnej Spółki Wydawniczej, S. A.”, Warszawa

